

MARGINALIA

Widmo krąży po Warszawie. Widmo Pałacu. Tak mógłby się zacząć Manifest Surrealistyczny w kraju, który wydał Mrożka, Piotra Skrzyneckiego i Stana Tymińskiego. Pałac gloryfikowany w pięćdziesiątych latach przez propagandę i wyklinany przez mieszkańców stolicy wrósł już tak silnie w naszą świadomość, że gdy ostatnio pojawiła się koncepcja jego przebudowy, wywołała liczne protesty. Pałac został bowiem „oswojony” i nawet trudno dziś wyobrazić sobie bez niego centrum Warszawy. Oswojony został też „największy plac Europy”. Miał służyć gigantycznym, czołobitnym pochodom i defiladom, stał się niechlujnym targowiskiem, upstrzony setkami budek i kramów z tandetą. W istocie tylko dwa razy zapełnił się tłumem warszawiaków – kiedy pojawił się na nim w październiku 1956 r. zwolniony z więzienia Gomułka oraz w czasie mszy sprawowanej przez Papieża, podczas Jego drugiej pielgrzymki do Kraju. Raz jeszcze odegrał plac znaczącą rolę, znów – o ironio losu! – podobnie jak w poprzednich przypadkach wbrew ideologicznym intencjom jego twórców. Było to w grudniu 1981 r. Zapowiedziano wielką manifestację ludności Warszawy. Można sobie wyobrazić, jak zaniepokoiło to władzę. Jeśli zdecydowana była bronić swego istnienia i „socjalistycznego oblicza” Kraju musiała to uczynić przed tą manifestacją, i to raczej w dzień świąteczny, gdy robotników nie będzie w zakładach pracy. Widmo Placu Defilad wypełnionego po brzegi ludnością stolicy wyznaczyło datę proklamowania stanu wojennego – niedzielę 13 grudnia.

Ale nie tylko „Plac” zaprzeczył ideom, które miał reprezentować. W Teatrze Dramatycznym (a więc w Pałacu) odbywał się właśnie, zorganizowany przez „Solidarność” Kongres Kultury. W niecałe dziesięć lat później można było raz jeszcze stwierdzić, jak ograniczona jest moc propagandy, jak szybko rewolucja zmiata narzucone sobie symbole. Obalono pomniki, zmieniono

nazwy ulic, gorliwie przywracając dawne nazwy. Można było nawet odnieść wrażenie, że symbole są ważniejsze od spraw materialnych. Wzniecały bowiem emocje, negatywne bądź pozytywne, aktywizując energię społeczną. Czasem, tworząc sferę zastępczą takiej aktywizacji.

Pałac Kultury i Nauki miał być w swoim założeniu symbolem. Po to go wymyślono i zbudowano. Symbolem – mówiąc najprościej – zniewolenia. Symbolem podległości. Ale już nie takiej, jaka patronowała budowie soboru na Placu Saskim. Wówczas „Prywiślański Kraj” miał zostać na wieki częścią wielkiego imperium Romanowych. Tym razem wariant miał być inny – kraje podbite nie powinny były wiedzieć i pamiętać o tym, że są podbite. Miały, jak planety krążyć wokół swego słońca, poruszając się po ściśle wyznaczonych orbitach, zachowując pozory samodzielności. Na jak długo? – tego nikt nie wiedział. Pamiętam rozmowy z Jakubem Bermanem i Zygmuntem Modzelewskim. Napiszę o nich kiedyś indziej. Tu tylko tyle – ich niepokój, jak długo Stalin będzie chciał rozgrywać wariant satelicki, czy biorąc pod uwagę sytuację międzynarodową będzie mu się opłacała ta ograniczona samodzielność Polski i innych państw bloku wschodniego.

Było rzeczą oczywistą, że czym większy stopień podległości, tym silniej należało podkreślać szacunek dla wartości narodowych, dla tradycji. Fałszując je oczywiście, zmieniając, tworząc nowych bohaterów a przemilczając niewygodnych. Nigdy w naszych dziejach słowo nie znaczyło tak wiele, nigdy nie przywiązywano takiej wagi do literatury, publicystyki, dziennikarstwa, radia, teatru, i – oczywiście – filmu. Wierzano w kreacyjną moc słowa, w to, że przez nie, przez natarczywość powtarzanych sloganów i sądów, uda się zmienić świadomość społeczeństwa.

Pałac musiał więc stać się symbolem miłości. Wdzięczności. Był wszakże darem, a dar prowokuje wdzięczność. Pałac miał być



symbolem dożgonnej przyjaźni i wdzięczności dla potężnego „brata”. Miał imponować wielkością, rozmachem, solidnością wykonania. Powinien być też zaspakajać ambicje obdarowanego, wyrażając bliskie mu treści emocjonalne. Przynajmniej w założeniu. Pałac musiał być „polski”, a więc inny niż podobne budynki wystawione w Moskwie. Miał być *socjalistyczny w treści, a narodowy w formie*. Miał być darem, którego nie sposób było nie zauważyć i zapomnieć, kto go ufundował. Stalin rozważał trzy koncepcje DARU. Oczywiście spektakularnego, takiego, który by na wieki sławił jego imię i świadczył o dobroci i potęgze Związku Republik Radzieckich. Zaproponował więc budowę linii metra, dzielnicy mieszkaniowej lub Pałacu Kultury. Nasi architekci radzili wybrać metro, rozsądna wydawała się idea budowy dzielnicy mieszkaniowej, ale Bierut wybrał – Pałac. Był to wybór logiczny. Metrem będą jeździli i zapomną, komu je zawdzięczają, zwłaszcza gdy będzie to tylko jedna linia. Dzielnica też stanie się szybko jedną z wielu. Nic nadzwyczajnego. A Pałac ... ten będzie symbolem. Zwłaszcza, gdy stanie w środku miasta, tak że nie sposób go będzie nie zauważyć.

Do Warszawy przybył twórca moskiewskich monumentów architekt – Lew Rudniew. Nie tylko, by zlokalizować budynek i ustalić tryb jego budowy, ale też po to, by poznać nasze zabytki architektoniczne i uczynić Pałac „narodowym” w formie.

Pracowałem już wtedy w Państwowym Instytucie Sztuki. Moim szefem był prof. Juliusz Starzyński. Wzywał mnie często do siebie, więc nie zdziwiłem się, gdy poprosił mnie do gabinetu i przedstawił – właśnie Rudniewowi. Koledzy mieli zawieźć dostojnego gościa do Krakowa, Baranowa, Kazimierza i chyba – do Zamościa, tego już dokładnie nie pamiętam. Mnie poprosił Starzyński o zaopiekowanie się Rudniewem w Warszawie. Ja? zdziwiłem się. Stu innych kolegów lepiej znało zabytki miasta, nie mówiąc już o środowisku architektów, konserwatorów zabytków. To coś dla Pana! zaśmiał się. Nie rozumiałem. Gaspadin Rudniew chce, aby Pałac był w swej formie syntezą polskości. Interesuje go sztuka ludowa, motywy ornamentalne, typowe detale architektoniczne. Starzyński wiedział jak obcy mi był ten sposób myślenia – przenoszenie ornamentów i motywów dekoracyjnych z jednej techniki do innej, bez organicznego związku z konstrukcją. Gdy w niedzielę zameldowałem się w hotelu, Rudniew pokazał mi poczynione dotychczas szkice. Był, zdaje się w Zakopanem, w każdym razie zapamiętałem pazdury – drewniane sterzyny na góralskiej chałupie. Może dlatego tak dobrze je pamiętam, że po roku – dwóch odnalazłem je uformowane w kamieniu na dachu ... Sali Kongresowej. W Krakowskim Muzeum Etnograficznym zachwyciły Rudniewa makaty z Zalipia, zanotował też wzory hafciarskie. Innych szkicowników nie oglądałem, miał ich kilka. Pojechaliśmy do Wilanowa, potem zwiedziliśmy Warszawę. Zaprowadziłem też mego gościa do Muzeum Narodowego. Kiedy wychodziliśmy, rozejrzał się po Alejach i zapytał: A to? Wskazał palcem na budynek flankujące Most Poniatowskiego. I tu zaczyna się moja wina. Może mała, ale wina. Zamiast odwrócić uwagę Gościa i wrócić z nim do hotelu – posłaliśmy na most. Wyjął natychmiast szkicownik. Był zadawolony. Rysował atyki zdobiące pawilony. Rysował starannie, z szacunkiem. Te atyki nie trudno dostrzec w zwieńczeniu bocznych skrzydeł Pałacu.

Czy tylko atyki? Przyjrzyjmy się uważnie. Czy sprawdził się zamysł Rudniewa dania w dekoracji budynku kwintesencji cech „polskich”? Mało kto dostrzeże, że szczytowa partia Pałacu nawiązuje do ... Bramy Floriańskiej w Krakowie. Wręcz klasyczny przykład na to, że operowanie motywami bez zrozumienia ich miejsca i roli w całości nie rozwiązuje problemu inspiracji.

Ale na tym nie koniec. Pałac miał być „polski” w swej formie, a wiadomo, że najłatwiej osiągnąć ten efekt sięgając do ornamentyki ludowej. Sprzyjała temu praktyka stosowana w republikach radzieckich, sprzyjała i dwuznaczność rosyjskiego pojęcia „narodności”, łączącego dwa, wyraźnie u nas różne znaczenia: tego, co narodowe, i tego co ludowe. Pojawiły się więc na stropach sal i korytarzy, wiodących do Sali Kongresowej, zalipiańskie malowanki. Ścisłej mówiąc, wykonane na wzór zalipiańskich. Elementów ludowych miało być nawet we wnętrzach więcej. Sam widziałem kartony z projektem kasetonów, w które wpisano wycinanki rawsko-opoczyńskie. Oczywiście zaprojektowane i wykonane przez profesjonalistów. Podkreślam to dlatego, że w atmosferze wyrażanych wówczas haseł malarki z Zalipia, z Curyłową na czele, poczuły się tym dotknięte. Co więcej, zaproponowały w liście do Ministerstwa Kultury i Sztuki, by im właśnie powierzono dekorację wnętrza Pałacu. Trzeba tu przypomnieć, że prasa w początkach lat pięćdziesiątych wychwalała ponad wszelką miarę artystów z ludu, amatorów, zwłaszcza górników. Pisano o nich w superlatywach, trudno się więc

dziwić, że brali to na serio. Minister Motyka pokazał mi kiedyś list, w którym znany wówczas górnik – malarz, Paweł Wróbel, wyrażał swe zdziwienie, że nie im, amatorom, powierzono dekorację Pałacu. Zgłaszał też swoją gotowość objęcia funkcji ... rektora Akademii Sztuk Pięknych. W ludowym Państwie – wierzył – lud powinien zająć najwyższe stanowiska. Zapewne mógł swe przekonanie podbudować nie jednym przykładem z życia. Kursowało przecież powiedzenie „Nie matura, lecz chęć szczerza zrobi z ciebie oficera”.

Otwarcie Pałacu było bardzo uroczyste. Zachwycono się szybkością wind, solidnym wykonaniem. Rzeczywiście stolarka była znakomita. Ale gdy wprowadzono do wnętrza instytucje, okazało się, że wiele z nich wolałoby pomieszczenie w miejscu mniej reprezentacyjnym. Powodów po temu było wiele. Dojście do Pałacu przez plac, po którym hulał wiatr, plac niebezpieczny po zapadnięciu zmroku (prasa alarmowała o licznych wypadkach okradzenia i pobicia młodzieży, uczęszczającej na zajęcia w Pałacu Młodzieży). Urzędnicy narzekali na to, że w dużych pokojach jasno jest tylko w pobliżu okien. Rzeczywiście, Pałac jest wyjątkowo nieekonomiczny. To, co mieści na wyższych piętrach można by ulokować w jednym–dwóch kilkupiętrowych budynkach. Nigdzie nie widziałem równie zakłóconej proporcji między przestrzenią użytkową a nieużytkową (windy, korytarze).

Starzy profesorowie źle znosili zmianę ciśnienia w szybkich windach, a właśnie Akademię Nauk umieszczono na wysokich piętrach. Kiedy prezesem PANu został prof. Tadeusz Kotarbiński, zainstalowano powolną windę towarową, którą jeździli nestorzy naszej nauki. Kłopoty miały teatry, umieszczone w skrzydłach budynku. Musiano przebudowywać zaplecza, architekci nie pomyśleli o tym, że np. aby ze stolarni wynieść zbudowane segmenty dekoracji nie wystarczy normalne drzwi. Kłopot był także z salami wystawowymi. W największej zasłaniały znaczną część ścian potężne kolumny. Sale były tak efektowne w swym wystroju, że w istocie mało się nadawały na wystawy. A jednak trzeba było w nich wystawiać. Pamiętam kłopoty, które mieliśmy, urządzając w salach IV piętra wystawę sztuki ludowej z okazji 10-lecia PRL. Ekspozycję przygotował prof. Oskar Hansen, architekt wybitny, światowej sławy. Aby obniżyć wizualnie pułap i stworzyć kameralne przestrzenie dla niewielkich przedmiotów, zaproponował podwieszenie między kolumnami, na nylonowych nitkach, pajaków ze słomy i bibulek. Gdy zaczęliśmy je umieszczać przybiegł zaalarmowany dyrektor Pałacu p. Barszcz krzycząc – co wy robicie? Chciecie, aby się kolumny zawałyły? Zatkalo mnie. Dotąd myślałem, że kolumny podpierają strop, tu okazało się, że poza jedną, wszystkie pełniły wyłącznie dekoracyjną rolę. Puste w środku, tylko w jednym punkcie były przymocowane do sufitu. Ich marmurowość i siła były pozorne. Nie marmur był to bowiem, ale stiuk. Zaproponowałem więc min. Motyce, bo i komuż innemu mogłem, by uwolnić sale od uciążliwego balastu. Oczywiście – powiedział, trzeba wyrzucić te kolumny, zajmę się tym. Okazało się jednak, że sprawa była nie do załatwienia. Nie zgodził się Minister Finansów. Pałac jako dar został wyceniony na jakąś okrutną ilość milionów, a usuwając kolumny, warte wówczas pół miliona każda, uszczupilibyśmy majątek Państwa! Wtedy Motyka wpadł na pomysł, aby kolumny ustawić gdzieś indziej, na przykład przy domu „pod sedesami” na Marszałkowskiej. Dwóch robotników wzięło z magazynu Pałacu zapasową kolumnę i nie męcząc się nadmiernie, zaniósło pod te „sedesy”. Okazało się jednak, że kolumny i sedesy nie pasują do siebie w żaden sposób. Chodzą więc z tą kolumną po mieście, ale nigdzie nie pasowała. Trzeba więc było zrezygnować z myśli o ich usunięciu z sali wystawowej.

Ale nie kolumny spędzały sen z oczu użytkowników Pałacu. Szybko okazało się, że dar jest niezwykle kosztowny. Było to prawie tak, jakby ktoś nam ofiarował hipopotama, a względy natury wyższej uniemożliwiały pozbycia się daru. Deficyt, który przynosił Pałac przerażał władzę. Wprowadzono „zapis” w cenzurze, tak, że nie wolno było o tym deficycie pisać. Zresztą zlikwidowano go jednym pociągnięciem pióra. Prosto i skutecznie. Pałac miał się samofinansować, utrzymywać z czynszów, każda więc instytucja tam umieszczona musiała płacić bajorńskie sumy za zajmowany metraż. Nie muszę dodawać, że była to operacja pozorna, po prostu o tyle wzrosła dotacja budżetowa dla tych instytucji przeznaczona na pokrycie czynszu. W ten sposób Pałac przestał przynosić deficyt i można było bez przeszkód rozkoszować się jego widokiem.

Tak było. Jak jest dzisiaj – nie umiem powiedzieć. Odwołuję się przecież do wspomnień, a nie piszę o perypetiach dnia dzisiejszego. I to już wszystko w charakterze suplementu do pięknego tekstu Zbyszka Benedyktowicza.